

DZIENNIK MÓD PARYSKICH

Lwów, 12 lipca 1845.

Rok szósty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dotychczas jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 ztr. 15 kr.; całorocznie 10 ztr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301.; we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 28 czerwca 1845.

Stroje damskie. Opis jaki tą razą damy naszym czytelniczkom, składać się będzie z trzech całkowitych strojów jakie spostrzegliśmy na ostatnich przechadzkach w polach elizejskich.

Najprzód, suknia z materii w cienie lilia z czarnem, której spodnica trzema szerokimi obszyta falbanami korunkowemi, a każda z tych falban znacznie jedna od drugiej odstępiona. Stanik gładki, wysoko zachodzący; rękawy gładkie. Płaszczyk z materii *poult de soie* zielonego koloru, zaokrąglony z tyłu, bardzo wycięty na ramionach; poły przednie u tego płaszcza są bardzo długie i zaokrąglone u dołu; tylne zaś obszyte trzema szerokimi frenzlami. Kapelusz z włoskiej słomki, z małą kanią, dwoma białemi piórami ubrany.

Strój drugi składał się z sukni z materii w białe i różowe pasy; spodnica obszyta była dwoma szerokimi falbanami na wskos krajanemi, stanik gładki, pod szyję zachodzący, rękawy gładkie. *Pardessus* z czarnej mory dochodzące niżej bioder, z przodu zaokrąglone i przystające do figury, otwarte przez całą swą długość z przodu, i czarną korunką wkoło obszyte; rękawy półdługie korunką także obszyte. Kapelusz *Pamela* z ryżowej słomki, zieloną krepą podszyty, i zielonemi piórkami ubrany.

Nakoniec suknia fularowa w zielone i białe kratki, której spodnica przystrojona z przodu szerokimi pasami monikami, stanik gładki, z długim karoczkkiem, zakrywającym całkiem biodra, otwartem z przodu, i obszytem wkoło również jak i stanik pasamonikami tego samego rodzaju jak przy sukni; rękawy gładkie; kapelusz z przezroczystej słomki, ubrany różową wystrzępioną wstążką. Płaszczyk z haftowa-

nego muszlinu, różową kitajką podszyty dość długi, zaokrąglony z tyłu, obszyty dwoma falbanami muszlinowemi.

Nie możemy jeszcze niewspomnieć o tem iż podwłósniki przyszyły do wielkiej wziętości; co raz nowszym robione są krojem; dla przyozdobienia ich używają wszystkiego co tylko moda ma najświeższego, i nie ma materii którejby nieużyto na ten rodzaj stroju. Możemy śmiało zapewnić że podwłósniki spotka teraz ta sama kolej jaka niedawno temu spotkała kapotki, które zrazu przeznaczone były tylko do rannego wyjścia i najskromniejszego stroju, dziś służą do wszelkiego rodzaju odwidzin. Toż samo dzieje się teraz z podwłósnikami; widzieliśmy już z nich niektóre tak gustowne i tak bogate, iż niesłusznie byłoby odmówić im miejsca w powozach i eleganckich salonach.

Wymienimy tu dwa podwłósniki jeden z różowej tarlatany u którego stanik z wyłogami, rękawy *à la Russe*, i wkoło korunkami obszyty; drugi z błękitnego fularu, czarnemi korunkami i błękitnym atłasem ozdobiony.

Rycina przedstawia: suknię z szelerowskiej marseliny, u dołu frenzlą obszytą, stanik w pasie jest szarfą opasany, kapotka krepowa kwiatami ubrana. Druga suknia ślubna, z tarlatany z dwoma korunkowemi falbanami, stanik gładki z korunkową bertą, włosy girlandą z kwiatów ubrane, welon tarlatowany korunką obszyty. Trzeci szlafroczek z fularu z dwoma falbanami stanik do półkoszulka otwarty, kapelusz ryżowy piórem ubrany, rańtuch korunkowy czarny. Tudzież frak do przechadzki o jednym rzędzie guzików z okrągłemi połami równie i surdut na jedną stronę do zapięcia.

FAKIR.

(z Wilhelma Hamma)

Nie jest mi wolno oczu wznieść ku tobie,
A być bez ciebie, jedno jest co w grobie!
O córko światła, że cię tak uczono,
Czujesz się wzrokiem moim już skażoną;
A że się tylko człowiekiem rodzitem,
Przez to doczesny raj mój utracitem.
Lecz muszę posiąść moje szczęście całe;
Dlatego teraz wspieram się o skałę,
Zakładam ręce, i bez życia wieści
Będę nieczuły na roskosz, boleści.
Bóg Brama schłonie zdroje myśli moich.
Dopóki oczu niezapomnę twoich
Póki te ciemne gwiazdy lotos kwiatu
Nie zginą w bóstwie u niebios bławatu.
A wtedy spłynie na mnie poświęcenie,
Stanie się drugie moje narodzenie,
I równy tobie, bo już były w niebie,
Będę catował, modlił się do ciebie.

O zimną skałę Sudra *) się opiera,
Zakłada ręce, i żywcem umiera;
Kamienne widmo dla przechodniów tłuszczy,
Spiżowy posąg postawion na puszczy:
Tak stoi długie miesiące i lata,
Niedba o obrót planet, ni bieg świata.
Słońce gorący na niego żar ciska,
On na te martwy męki bez nazwiska.
W rozwianych włośach siwej jego brody
Gnieźdzą się ptaki, wyprawiają gody,
Waż po nim w górę wypetza zpod trawy,
W twarz mu zagląda mądry i ciekawy,
A tu zajęte swobodną swą dołą,
Dokota wszędy zwierzęta swawołą.

Stawa o świętym, dochodzi już kresu
Ostatnich wyżyn wzdłuż brzegów Gangesu.
Pielgrzymy spieszą z dalekich stron świata,
Padają na twarz przed obliczem brata,
Lecz on niewidzi jak bracia kłękają,
Nie słyszy pieśni, które mu śpiewają,
Nie czuje woni kadzidel, ni zdoła
Dostrzedz że nawet braminy gną czoła.
Nawet co było najdroższe mu w świecie,
I ona przyszła, rzuca u stóp kwiecie,
Śpiewa mu piosnkę najdroższą, wybraną,
Tańcząc odślania nóżkę malowaną.
A wtedy ogień, naksztalt błyskawicy,
Przebiegł twarz spiekłą i wypadł z źrenicy,
I dał znak życia piersi poruszeniem,
I ust zaledwie dostrzeżonem drzeniem;
Ostatni płomyk dawnej namiętności,
Co dotąd jeszcze na dnie duszy gości.
Ona odeszła, wespół z bożkiem Kama, **)
On się pozostął, już sam na sam z Brama.

F. Ł.

*) Sudra, najniższa kasta u Indian.
**) Kama, bóg miłości.

MARCIN CHUZZLEVILT,

kilka rysów Ameryki i jej mieszkańców

przez

KAROLA DICKENSA.

Na samym wstępie do północnej Ameryki podróżni nasi należący do załogi okrętu *the screw* (trybuszon) przybijającego do szczęśliwych jej brzegów, przywitani zostali hulaśliwymi okrzykami i natłokiem ludu co kazało im się domyśleć że jakieś nadzwyczajne zajść musiało zdarzenie; tak też było. Dniem przed tem obrany został Alderman w Nowym-Jorku; a obie interessowane strony, jak rzecz naturalna, nastrojone były na niezwykle wysoką nutę, jedna tryumfu a druga nieukontentowania, i wyrażali to, każdy we właściwym sobie charakterze: biegając, halasując, deklamując i popychając się wzajem.

Przyjaciele zawiedzionego kandydata sądzili za rzecz doradną, dowodzić nienaruszalność wielkiej zasady: czystości wyborów i wolności opinij, rozbijając głowę temu lub owemu przeciwnikowi co się nawinał pod rękę, łamiąc drugiemu rękę lub nogę co zawadzały na drogę lub ściągając jakiego podejrzanego *gentlemana* z ulicy na ulicę aż do jego pomieszkania w zamiarze rozbicia mu nosa. Te małe wybuchy dobrego humoru i narodowej fantazji, nie były same w sobie dość znaczące aby spowodować miały wielkie zaburzenie po upływie całej nocy; lecz znalazły one nowe życie i znaczenie skoro świtać zaczęło w napływie świeżej siły głosicieli nowin którzy nie przestając na wykrzykiwaniach i ogłaszaniach tychże po wszystkich ulicach i zaułkach miasta; hurmem tłoczyli się na pokład okrętu, a ztamtąd rozsypali po wszystkich kajutach i kryjówek jego, tak, że nim zdołał przybić do celu, został jakby mrowiem przepelniony tymi młodymi obywatelami Ameryki.

»Oto jest dzisiejszy poranny Nowo-Jorski krawiec! krzyczał jeden.« Oto jest dzisiejszy poranny Nowo-Jorski morderca! Oto jest Nowo-Jorski szpieg familijny! Oto jest Nowo-Jorski prywatny podsłuchacz! Oto jest Nowo-Jorski Rowdy-Journal. Oto jest Nowo-Jorski donosiciel przez dziurkę od klucza! Oto jest Nowo-Jorski Rowdy-Journal! Oto są wszystkie Nowo-Jorskie dzienniki! Oto są dokładne szczegóły patriotycznych wybuchów z dnia wczorajszego w których wigom tego się dostało; i ostatnich rozpraw wyborezych, i wielce interessujących igraszek z nożami w Bowie-Street!

i wszystkich politycznych, handlowych i wielkoświatowych nowin. Oto one są! Oto one są! Oto są dzienniki! Oto są dzienniki!

»Oto jest krawiec!« wrzeszczał drugi. Oto Nowo-Jorski krawiec! Oto jest kilka z dwunastu tysięcznych egzemplarzy krawca, z najdokładniejszymi opisami z targowicy i wszystkich okrętowych nowin i cztery bite kolumny korespondencji krajowej, i najdokładniejszy opis balu u misstres White z ostatniej nocy, gdzie wszystkie piękności i cały fashion Nowego-Jorku był zgromadzony wraz z ciekawym dodatkiem własnych uwag krawca nad prywatnym życiem każdej z dam, która tam była! Oto jest krawiec! oto jest kilka z dwunastu tysięcznych egzemplarzy Nowo-Jorskiego krawca! Oto jest nowy opis zgromadzenia w Waal-Street i ciekawy opis zgromadzenia w Washington, i wyjątkowy, najciekawszy opis zbrodniczego czynu nieuczciwości jaki popełniony został przez sekretarza stanu, gdy tenże miał lat siedem; czynu nowo obiawionego z wielkim kosztem i trudem według zeznania własnej jego mamki. Oto jest krawiec! Oto jest Nowo-Jorski krawiec, w dwudastu tysięcznych egzemplarzach z całą bitą kolumną Nowo-Jorskich obywateli o pięknych kolorowanych obrazkach z podpisami ich imion! Oto jest artykuł krawca napisany na sędziego, który powoływał go przed sąd za paszkwile, i panegiryk krawca dla wolno-myślnego Jury, *) który go uwolnił od zarzutu i uwagi krawca nad tem, czego przysięgli spodziewać się mogli, gdyby byli sobie postąpili inaczej! Oto jest krawiec, oto jest krawiec! Oto jest stuksi wszystkowiedzący krawiec; najczynniejszy dostrzegacz; najpryncypalniejszy dziennik ziednoczonych stanów, w dwunastu tysięcznych egzemplarzach, których liczba co dzień rośnie: Oto jest Nowo-Jorski krawiec!«

»W taki to wielce nauczający sposób,« zawołał głos jakiś prawie w same ucho Marcina Chuzzlewilt »objawiają się nieprzytłumiane uczucia i namiętności ojczyzny mojej.«

Marcin obrócił się mimowolnie, i ujrzał stojącego tuż przy boku swoim bladego *gentlemana* z zapadłemi policzki, czarnym włosom, małemi migotnemi oczkami i szczególniejszym wyrazem panującym w tej części jego oblicza: nie było to ani pochmurnym marsem, ani też podejrzliwym przymrużaniem, choć mogło być wzięte tak za jedno jak za drugie. Trudnoby było doprawdy nawet przy ścisłej znajomości oddać tu wyraz w innych słowach, jak zwy-

*) sąd przysięgłych.

czajnej przenikliwości i brudnego dowcipu. *Gentleman* ten miał na głowie kapelusz z szerokimi kryszami nad miarę, może dla przytłumienia zbyt rażącej światłości swojego oblicza, ręce założone jedna na drugą po napoleońsku, dla temwiększego wyrazu postawy. Był on nieco z kiepska-elegancko przystrojony w niebieski surdut sięgający do kolan, krótkie a szerokie pantalonego tegoż koloru, i wybladłą żółtą kamizelkę, zpod której zmięte żaboty od koszuli przeciskały się ciekawie jakby pragnąc koniecznie być dostrzeżone, jako mające równe prawo obywatelstwa z innymi szczegółami tego stroju świadcząc oraz o niepodległości swojej na własny rachunek. Nogi jego nadmiernej wielkości były niedbale skrzyżowane, gdy na wpół siedząc a na wpół stojąc, opierał się bokiem o ścianę statku; a gruba jego laska potężnie okuta przy końcu z główką z świecącego metalu, swym sznurkiem z kutasami łączyła się z jego dłonią. Tak ubrany i tak ułożony w postawie głębokiego zamyślenia, *gentleman*, sięgnął nagle ręką ku prawej stronie swojego policzka i prawego oka, i raz jeszcze powtórzył.

»W taki to wielce nauczający sposób objawiają się nieprzytłumiane uczucia namiętności mojej ojczyzny.«

Ponieważ, wymawiając te słowa spoglądał na Marcina a nie było nikogo w pobliskości, Marcin skłonił zlekka głowę i rzekł:

»Czy pan to ściągasz do —«

»Do palladium racjonalnej wolności wewnątrz, Sir, i wstrętu obcej przemocy na zewnątrz« odrzekł *gentleman*, wskazując ręką na niepospolicie brudnego i obszarpanego nowiniarza o jednym oku: »Do zazdrości świata, Sir, i przewodców cywilizacji rodzaju ludzkiego. Wolnoż zapytać Sir« dodał opierając silnie okucie swej laski o podłogę, z miną człowieka przekonanego o nieograniczonej ważności swojej; jak też podoba ci się moja ojczyzna?

»Nie jestem przygotowany, odpowiedzieć na to pytanie, wszak pan widzisz żem jeszcze niewylądował na jej brzegi.

»A tak, spodziewam się iż nie byłeś przygotowanym Sir, aby oglądać podobne oznaki powszechnej pomyślności jak o to?

Tu wskazał ręką na liczne okręta stojące w przystani, wywijając przy tem laską w dół i w górę, jak gdyby i powietrze i wody chciał wraz podciągnąć pod tę uwagę.

Doprawdy! nie umiem na to dobrze odpowiedzieć; lecz ile mi się zdaje byłem do tego przygotowanym.

Gentleman spojrział nań okiem znawcy, i rzekł iż podobała mu się jego polityka, bo jako filozof znajdował upodobanie w rozważaniu przesądów natury ludzkiej. Zgromadziliście tu, jak widzę, mój przytem podbródek oparty na szerokiej głowce swój laski, zwykły ładunek nędzy i ubóstwa, ciemnoty i zbrodni do umieszczenia w łonie wielkiej rzezypospolitej. Dobrze, dobrze! niechaj sobie przybywają w pakunkach okrętowych ze starej ojczyzny; Przysłówie mówi: Kiedy statek ma zatonać, opuszczają go myszy i szczury: wielka w tem zawiera się prawda jak sądzę!

»Pozwolisz pan wyrazić nadzieję, że stary okręt będzie sobie jeszcze płynął spokojnie przynajmniej przez lat kilka«, mówił Marcin z uśmiechem wzbudzonym po części tem, co *gentleman* mówił, po części sposobem w jakim swoje myśli wyrażał. Dziwny to był doprawdy sposób; wymawiał on z przyściśkiem i komiczno-serio przesadą niektóre słowa, rzucając inne nawiasem na wiatr, jak gdyby osądził za rzecz doradną nie troszczyć się, jak tylko o niektóre znaczące wyrazy godne największej uwagi, a resztę powierzyć na los szczęścia.

»Nadzieja, Sir, jak mówi poeta, jest karmicielką młodej żądzy« uczynił uwagę *gentleman*.

Marcin odrzekł, iż słyszał już nie raz, że kardynałna cnota o której mowa służy zwyczajko w tej domowej godności.

»O, nie wypiastruje ona swojego niemowlęcia w tych czasach i w okoliczności o której mowa! sam się o tem przekonasz Sir.

»Czas to okaże.« —

Gentleman potrząsnął poważnie głową i zapytał: »Jakie jest imię twoje Sir?«

Marcin powiedział mu.

»Wiele masz lat Sir?«

Marcin powiedział mu.

»Jakie jest zatrudnienie twoje Sir?«

Marcin i to mu powiedział.

»Jakiż być może twój los w przyszłości Sir?«

»Doprawdy« odrzekł Marcin śmiejąco »co do tego względu nie potrafię pana zadowolnić, gdyż sam o tem nie wiem.«

»E, nie koniecznie« wyrzekł w pół złośliwie a w pół poważnie *gentleman*. Poczem ujął laskę pod lewe ramie, wyprostował się, raz jeszcze z większą niż dotąd uwagą zmierzył Marcina od stóp do głowy, a ukończywszy ten przegląd, trwający parę minut, wyciągnął dłoń swoją, wstrząsnął po przyjacielsku dłoń Marcina, i rzekł:

»Nazywam się pułkownik Diwer, Sir. Jestem wydawcą Nowo-Jorskiego pisma Rowdy-Journal.

Marcin przyjął tę wiadomość z takim stopniem poważania, jaki wymagać się zdawało to tak znakomite oświadczenie.

»Nowo-Jorski Rowdy Journal, Sir« mówił dalej Pułkownik »jest, jak sądzę, że ci to wiadomo, organizm naszej miejscowej arystokracji.

»A! więc tedy i tu znajduje się arystokracja! z czegoż ona się składa?«

»Z inteligencji, Sir, z inteligencji i cnoty. I z koniecznego ich następstwa w tej szczęśliwej rzeczy pospolitej, z talarów Sir.«

Marcin ucieszył się mocno, słysząc to bowiem czuł się być mocno upewnionym sam w sobie, że jeżeli intelligencja i cnota prowadzą tu zwykle do posiadłości talarów, on zostanie wkrótce wielkim kapitalistą. Już chciał głośno wyrazić radość, jaką w nim obudziła ta szczęśna nowina, gdy przerwał mu to wylanie się kapitan okrętu, który w tejże chwili przyszedł powitać pułkownika Diwer, a widząc obok tegoż, człowieka porządnie ubranego (Marcin zrzucił był swoje lichy podróżne odzienie) przystąpił i do Marcina i wstrząsnął mu dłoń powitalnie. Było to wielką ulgą dla naszego bohatera, który jak wiemy posiadał nie małą dozys dumy, i czułby się być mocno upokorzonym, gdyby mu przyszło przedstawić się pułkownikowi Diwer w charakterze ubogiego, który musiał zajmować miejsce w tylnej części okrętu (Steezage).

»Cóż tam nowego kapitanie« przemówił pułkownik.

»Wszystko dobrze, pułkowniku!« zakrzyczał kapitan. »Diabelnie mi ślicznie wyglądasz Sir, zaledwie oczom moim wierzę, że to jest pułkownik Diwer, a przecież tak jest w istocie.

»Czy pomyślna była żegluga, kapitanie?« zapytał pułkownik odciągając go na stronę.

»Kapitałna! cudowna slizgawka! mówił, czyli raczej spiewał kapitan, który był prawdziwym Nowo-Anglikiem: Kapitałna zważywszy na pogodę.

»Dobrze więc, a pamiętałeś...«

»A, tak, tak, właśnie wysłałem chłopca do waszego kantoru z listą pasażerów.«

»Nie oto idzie, czy to nie mógłś oszczędzić sobie jeszcze i drugiego chłopca?« mówił prawie surowym nieukontentowanym tonem pułkownik.

»Jak widzę znalazłoby się tu ich więcej jak kopa, jeśli ci ich potrzeba pułkowniku« dorzucił kapitan.

„Jeden żwawy chłopak potrafiłby podobnoś u-
nieść parę tuzinów szampana,» zrobił uwagę pułko-
wnik z miną zadumaną,» do mojego kantoru. Jakże
tedy żwawa była żegluga kapitanie.«

»A, tak, tak! właśnie to już skutecznitem.«

»To bardzo ztąd bliźniętko, jak wiesz. Bar-
dzo się z tego cieszę, żeście mieli pomyslną żeglu-
gę; nie zadawaj sobie wielką pracę, mój ka-
pitanku, w przemierzaniu kwart i nie wysyłaj dużo
ludzi. Jeden tegi drab może bezpiecznie przenieść
ze dwadzieścia kwart choćby miał dwa razy odbywać
posyłkę po szylingu pierwszej próby, kapitanie, czy
tak, ha?»

Tak, zawsze tak, odrzekł żeglarz, usiłując u-
kryć zły humor.

Podziwiam twoje szczęście, kapitanie. Każesz
pożyczyć mi także i trybuszon i ze dwanaście
lampeczek, jeżeli ci się podoba. Chociażby się
wszystkie żywioły sprzysiędz miały przeciw pomysl-
nej żegludze trybuszona, tego szlachetnego statku
ojczyzny mojej, mówił pułkownik, zwracając się do
Marcina, rysując przy tem laską jakieś floresy na po-
kładzie, zawsze on potrafi wywinąć się gracko i wy-
ciągnąć swój szyling!

Kapitan, który właśnie spostrzegł, że w jednej
kajucie wszystko-wiedzący krawiec zajadał smacznie
w ogromnych porciach jego okrętowe prowianty,
podczas gdy w drugiej usłużny morderca zapijał się
aż do szaleństwa jego wiskej; pożegnał czempre-
dziej swojego przyjaciela i przywódcę pułkownika, i
poszedł wyprawiać szampana, wiedząc o tem dobrze
(z smutnego doświadczenia) że gdyby zaniechał zjed-
nać sobie tym darem wielowładnego wydawcę Rowdy-
Journal, potężny ten władca opinii, okrzyczy go
wraz z całą okrętową załogą zanim dzień przeminie
za niektóre niekoniecznie bezpieczne sprawy, a do
tego nieodpuści nawet i sławie jego matki zmarłej już
temu lat dwadzieścia. Pułkownik zostawszy znowu
sam na sam z Marcinem, zatrzymał go gdy tenże
chciał odejść i ofiarował się, jako cudzoziemcowi i
Anglikowi wskazać mu osobliwości miasta i zapro-
wadzić go do jednej z najporządniejszych fashiona-
blskich austerij. Lecz przedewszystkiem pragnął
mieć to szczęście (jak mówił) korzystać z jego mi-
łego towarzystwa i udać się wraz z nim do kantoru
Rowdy-Journal, gdzie będzie miał zaszczyt poczęsto-
wać go szampanem swej własnej roboty.

Te zaprosiny były tak wysoce grzeczne i go-
ścinne, że nie zważając na zbyt wczesną jeszcze dnia
porę, Marcin przystał z ochotą na to wezwanie.
Upredziwszy więc Marka wesołego towarzysza po-

dróży a razem i kamerdynara swego, aby oczekiwał
nań przy kantorze Rowdy-Journal; wylądował wraz
z nowym przyjacielem swoim na brzegi Ameryki.

Torowali sobie drogę jak mogli wpośród smut-
nego tłumy wychodźców którzy zgromadzeni na
brzegu wokoło swych łóżek, pakunków i tłumoków,
sądził się być przeniesieni na inną planetę tak ob-
cym wydawało im się to wszystko co ich otaczało,
i szli przez niejaki przeciąg czasu wzdłuż zalu-
dnionej ulicy zamkniętej po jednej stronie przez wa-
ły i las masztów okrętowych; po drugiej przez dłu-
gi szereg magazynów z czerwonej cegły i wystających
zajezdnych domów, z taką obfitością białych tablic i
czarnych liter, czarnych tablic i białych liter, jakiej
Marcin w życiu swoim nigdy nie widział. Teraz za-
wrócili w ciasną uliczkę, z tej w drugą jeszcze cias-
niejszą, aż nareszcie zatrzymali się przed dużym bu-
dynkiem, na którego froncie, sążnistemi literami sta-
ło wypisane Rowdy-Journal.

Pułkownik, który przez całą drogę maszerował
krokiem powolnym, jednostajnym, z jedną ręką zało-
żoną niedbale za kamizelkę, z głową przechylającą
się od czasu do czasu to w tę to w ową stronę, ka-
peluszem na bakier na jedno ucho założonym, jako
człowiek, któremu uczucie własnej wielkości swojej
i powagi nie dawało pokoju, przewodniczył towa-
rzyszowi swemu przez szereg wązkich i ciemnych
wschodów do izby równegoż charakteru całkiem za-
rzuconej ogromnemi stopy dzienników i innych ru-
pici tego rodzaju tak drukowanych jak i niedruko-
wanych. Przy czarnym starym stoliku za stołem
takieże papierów, siedziała postać człowieka z pió-
rem w gębie i ogromnemi nożycami w prawej dłoni,
zatrudniona rozdzielaniem i obcinaniem kart Rowdy-
Journal; a była to tak pocieszna figura, że Marcin
na jej widok zaledwie mógł powstrzymać się od
śmiechu, bacząc iż pułkownik Diver ma na niego
pilnie zwrócone oczy.

Ta postać, która siedziała za stolikiem zatra-
dniona obcinaniem i rozdzielaniem kart Rowdy-Jour-
nal, była chudym malutkim *gentlemanem*, bardzo mło-
dziutko wyglądającym, cery bladawej i chorowitej,
może ze zbyt dużego natężenia myśli, a może też
co podobniejsza, z przyczyny nadmiernego użycia
tytoniu, który w tej chwili kurzył z całej siły. Miał
on kołnierz od koszuli szeroko wyłożony na czarną
krawatkę, a rzadkie jego włosy, mizerna czupryna
były nie tylko jak najstaranniej ułożone i pod-
niesione nad czołem, tak aby żaden poetyczny wy-
raz tej fiziognomii nie został zatracony, lecz na-
wet tu i owdzie powyrywane z rozkozieniem; co dowo-

dziło że nie musiały tam być na swoim miejscu według widzimisia ich właściciela. Miał on tego rodzaju nos, jaki francuzi nazywają »camard« dość znacznie zadarty na końcu, jakby w ognistym gniewie. Na zwierzchniej wardze tego młodego *gentlemana* były jakieś wąte ślady piaszczystego puchu, tak bardzo a bardzo gładko lśniące i rzadkie, iż chociaż z widocznym wysileniem i troskliwością zachęcane, wyglądały raczej jak świeży ślad piernika, niżeli słodka nadzieja wąsów; który to domysł zbyt młodziuchna powierzchowność jego bardziej utwierdzała. Był on bardzo pilnie zajęty swoją pracą, a za każdą razą gdy z łoskotem ścisnął ogromne nożyce, czynił podobnież poruszenie szczekami, co mu nadawało prawdziwie groźną postać.

Marcin nie długo rozmyślał nad domniemywaniem, ktoby był ten mały oryginalny człowieczek. Osądził od razu że to być musiał synaczek pułkownika Diver, główna na przyszłość sprężyna i nadzieja Rowdy-Journal, i już począł głośno objawiać to domniemanie, dodając, iż go to niezmiernie bawi patrząc jak młodziutki *gentleman* odgrywa z powagą rolę wydawcy w całej niewinności dziecinnego wieku, gdy pułkownik Diver przerwał mu nagle i wyrzekł z dumą: »Mój korespondent wojny, Sir, pan Ifferson Brick!«

Pan Brick zdawał się być wielce zadowolonym z tego wrażenia jakie wydawało mu się, że uczynił na cudzoziemcu; Marcin w istocie stał zadziwiony tą wiadomością i zmieszany niepoprawionym swym błędem, powstał więc poważnie z miejsca swego i ścisnął naszego bohatera za rękę z miną protekcyjną, przez którą chciał go zaspokoić i upewnić oraz że nie miał czego się lękać, gdyż on (Brick) nie ma zamiaru uczynić mu krzywdy.

»Słyszałeś zapewne o Iffersonie Brick jak widzisz Sir« przemówił pułkownik z uśmiechem »Anglia słyszała o Iffersonie Brick, Europa słyszała o Iffersonie Brick. Obaczmy, kiedy opuścisz Anglię Sir?«

»Przed pięciu tygodniami« odpowiedział Marcin.

Przed pięciu tygodniami, powtórzył pułkownik z zadumaniem, siadając na stoliku i kołysząc wieszającymi nogami. Pozwól więc iż zapytam cię Sir, które z artykułów pana Brick dokuczyły najwięcej w owym czasie parlamentowi angielskiemu i dworowi w St. James.

»Na honor« rzekł Marcin »Ja...«

»Mam ja niemyślne powody do sądenia Sir« przerwał pułkownik »że cała arystokracja twojej ojczyzny drzy przed imieniem Iffersona Brick. Miło mi będzie dowiedzieć się z własnych ust twoich Sir,

która z jego opinij zadała najgwałtowniejszy, śmiertelny cios.

»Stugłowej hydrze zepsucia, która teraz ryczy i czołga się w prochu pod mieczem rozumu i pryska z wściekłością nieczystą krew swoją, nie mogąc doścignąć świętej arki swobód naszych, wyrzekł jedynym tchem pan Brick, cytując swój ostatni artykuł, i w zapale cisnął o stół błękitną czapeczkę z czarnym lśniącym daszkiem.

»Wiwaty wolności, Brick« podsunął pułkownik.

»Muszą czasami być spełniane krwią, pułkowniku,« krzychał Brick, i wymawiając to słowo krew, trącił silnie roztwartymi nożycami o stół, jak gdyby i one wymówić miały krew i były zupełnie jego zdania.

Poczem oba spojrzeli na Marcina oczekując jego odpowiedzi.

»Słowo honoru,« zawołał nasz bohater, który miał czas odzyskać nieco krwi zimnej, »na uczciwość, nie mogę panom dać żadnej zadawalniającej w tym względzie odpowiedzi, ponieważ ja...«

»Wstrzymaj się!« zakrzyczał tragicznie pułkownik, spoglądając ponuro na swojego korespondenta wojny, i kiwając głową za każdą sentencją swoją. »Chcesz powiedzieć, żeś nigdy nie słyszał o Iffersonie Brick, Sir. Żeś nigdy nie czytał Iffersona Brick, Sir, żeś nigdy nie widział Rowdy Journal, Sir, żeś nigdy nie wiedział o jego potężnym wpływie na gabinety europejskie, czy tak?«

»To właśnie chciałem wyrazić, bez wątpienia,« rzekł Marcin.

»Powściągnij się Ifferson,« wyrzekł pułkownik z powagą: »O ci Europejczycy to są zepsute dzieci. No coż robić, napijmy się teraz wina! To mówiąc, zląkł ze stołu i poszedł wyjąć ze stojącego tuż przy drzwiach wchodowych koszyka butelkę szampana i trzy szklanki.

»Pan Ifferson Brick, Sir« zawołał pułkownik, napełniając szklankę Marcina i swoją własną, i posuwając butelkę do swego korespondenta wojny, »pan Ifferson Brick da nam hasło do wiatu.

»Dobrze Sir!« wykrzyknął zagadniony *gentleman*, »kiedy postanowiłeś wezwać mnie, chcę odpowiedzieć godnie temu zaufaniu, otóż hasło, Sir. Wiat w Rowdy-Journal i jego bracia! Krynica prawdy, której wody są czarne, bo składają się z atramentu, lecz oraz dość przejrzyste dla ojczyzny mojej, aby mogła w nich oglądać odbity cień przeznaczeń swoich!«

»Brawo, brawo! słyszałeś Sir, krzyknął pułkownik z zadowoleniem, co za kwiecisty styl w wyrazach mojego przyjaciela!«

W samej rzeczy bardzo kwiecisty, rzekł Marcin.

»Oto jest dzisiejszy Rowdy-Journal, Sir,« odezwał się pułkownik przysuwając mu drukowany arkusz. Znajdziesz tam Sir Iffersona Brick, na właściwym jego stanowisku, na przedniej straży cywilizacji rodzaju ludzkiego i czystości moralnej.

Pułkownik zasiadł był znowu na stole. Pan Brick zajął takąż samą pozycję na drugim jego końcu i poczęli żwawo zapijać szampana, spoglądając często na czytającego Marcina, a potem wzajem na siebie, a gdy Marcin przebiegłszy długie kolumny sławnego dziełnika, odsunął go na stronę, co się stało, gdy już wysuszili drugą butelkę, pułkownik zapytał go co też myślał o przeczytanym piśmie?

Co ja myślę? ależ zdaje mi się, ono straszliwie osobiste.

Widać iż pułkownikowi schlebiła ta uwaga, bo rzekł zacierając ręce z widocznym zadowoleniem, a spodziewam się, że tak jest w istocie.

Sir, ozwał się pan Ifferson Brick, robimy to co nam się podoba.

Jak wnioskować mogę z przeczytanego ustępu, znajduje się tu przecież z jakich parę tysięcy obywateli Nowego-Jorku, którzy robią właśnie to co im się nie podoba, przemówił Marcin.

»Ha! oni ulegają potężnej opinii publicznego światła-dawcy, Sir« odrzekł pułkownik.

»Trafia się to czasem, iż pozwalają sobie sprzeciwiać się i brykać po swojemu; lecz w ogólności mamy przewagę i zwierzchnictwo nad naszymi współobywatelami tak w publicznym jak prywatnym ich życiu, i to jest właśnie jedną z najszlachetniejszych najliberalniejszych instytucji naszej szczęśliwej krajiny, jak....«

»Jak sama niewola murzynów,« podsunął pan Brick.

»Zupełnie tak,« potwierdził pułkownik.

»Za pozwoleniem, przemówił Marcin, po niejakim wahaniu, czy mogę się ośmielić zadać jedno pytanie, ściągające się do pewnej okoliczności, którą zauważałem w tem piśmie, Sir,« czy powszechnie światła-dawcy używają często, niewiem doprawdy jak wyrazić bez obrażenia pana, fałszowania?... »Fałszowania listów naprzykład mówił dalej z większą śmiałością, widząc, że pułkownik był zupełnie spokojnym i miał minę zadowolioną, z uroczystym zapęceniem, że te listy były pisane w najnowszych czasach przez żyjące osoby.

»No, i cóż Sir,« odrzekł pułkownik, »trafia się to czasem.«

»A publiczność światła-biorąca cóż na to?« zapytał Marcin.

»Kupuje« odrzekł pułkownik obojętnie.

Pan Ifferson Brick splunął obficie i zaśmiał się potakując.

»Kupuje, w setnych, tysięcznych exemplarzach« kończył pułkownik »my jesteśmy ludem dowcipnym, i umiemy oceniać dowcip.«

»Czy dowcip amerykański objawia się li-tylko w paszkwilach?« zapytał Marcin.

»O, o, objawia on się i w wielu innych rzeczach którym wy inaksze nadajecie nazwiska. Wy to sobie w tej waszej Europie nie umiecie poradzić ale my umiemy.«

»I czynimy to często z bardzo małą ceremonią« dodał Marcin w duchu.

W każdym przypadku jakakolwiek nadamy jemu nazwę,« mówił pułkownik, złażąc ze stołu, aby umieścić w kończiku trzecią butelkę obok dwóch próżnych jej towarzyszek,« zdaje mi się, że sztuka fałszowania i paszkwilów nie tu była wynalezioną.

Ciąg dalszy nastąpi.

Nowości literackie.

W Warszawie zawiązało się stowarzyszenie akcjonariuszów na wzór czeskich, do wydawania swym kosztem pism polskich, aby i autorom zapewnić honorarium i publiczności tańsze niż dotąd nabywanie książek. Złożono już znaczną sumę i z tego funduszu drukują się u Strąbskiego:

a) *Codez diplomaticus Regni Poloniae*, wydany przez p. Helcla; wydanie to ze wszechmiar tak ze względu naukowego jakoteż akuratności dyplomatycznej będzie dokładne. Już jest pięć arkuszy wydrukowanych.

b) Listy o chemii, Libicha, sławnego niemieckiego chemika: ktoremu Anglicy na zrobienie próby kunsztownego nawozu 70000 funtów szterlingów zaliczyli. Listy te przetłumaczył na polskie Zdzitowiecki biegły chemik.

c) *Anti-Trentowskiana*, to jest krytyka pism Trentowskiego przez J. I. Kraszewskiego.

d) *Gramatyka języka polskiego* przez Sierocińskiego. Jestto nowe wydanie gramatyki polskiej przez Teodozego Sierocińskiego w roku 1840 w Warszawie drukiem ogłoszonej.

e) *Powieści pp. Kraszewskiego, Chołoniewskiego, Hołowińskiego.*

f) Sędziwoj alchemik, powieść Dziekońskiego, już wyszła z druku.

g) Podróż do Krymu Chojeckiego już także wyszła.

Tym samym sposobem wyjdzie Kontynuacja obrazu bibliograficznego Jochera, którego szczegółowe, materie rozebrane są pomiędzy uczonych i obrobione, razem drukowane będą, tak, iż w krótkim czasie całe ukaże się dzieło.

Pan Przędziecki przepędzi przyszłą zimę w Rzymie, gdzie ma czynić poszukiwania naukowe, Polskę obchodzące.

Na tegoroczną wystawę przemysłu i sztuk pięknych drukuje Strąbski ozdobne wydanie Album polskiego. Jestto zbiór oryginalnych artykułów warszawskich literatów, najozdobniej jak być może, wydawanych, dla pokazania publiczności do jakiego stopnia doszła u nas sztuka drukarska.

Uczony professor Maciejowski wyjeżdża do Galicji w celu naukowym, za powrotem rozpocznie druk swego dzieła: Pierwotne dzieje Polski i Litwy. Dołączone będą mapy, wystawiające ziemię naszą za Tacyta i Ptolomeusza r. 97—161 po Chr. za Lachów r. 600—860; za pierwszych Piastów i Świętopelka morawskiego roku 870—896; za Czechów i Mieczysława r. 977—992. Polska za Mieczysława I. ile się jej od zaborów Niemców i Czechów zostało, też same lata; za Chrobrego 992—1025.

Pan Klemensowski, pułkownik korpusu Inżynierów byłych wojsk polskich, a teraz urzędnik Dyrekcji dróg i mostów, zajmuje się historią wojskowości polskiej.

Pan Muchanów objąwszy teraz zarząd oświecenia publicznego w Polsce, tworzy towarzystwo archeograficzne, które ma drukować rękopisma dotyczące się historii Polski i Rossii.

W Poznaniu w xięgarni nowej wyszły:

a) Spiewy kościelne na cztery głosy ułożone dla użytku katolickiej młodzieży król. gimn. ś. Marii Magdaleny w Poznaniu, obok z tekstem wydane przez S. Lechnera, nauczyciela spiewu przy temże gimnazjum. Poszyt pierwszy zawierający 26 pieśni. Poszyt drugi mieścić będzie dalszy ciąg pieśni przygodnych najbardziej używanych. Melodia jest wzięta z szacownego dzieła: Spiewnik P. Mioduszewskiego i jest na zasadach harmonii muzyki kościelnej na cztery głosy rozłożone, tak, że i jednym głosem spiewana

być może, a w tenczas cztery głosy służą do wtórowania na organach.

b) Przykłady do tłumaczenia z polskiego na łacińskie i z łacińskiego na polskie do etymologii łacińskiej gramatyki, przez A. Poplińskiego, zawierając anomalie czyli nieregularne formy.

Antoni Parys.

Przybyły przed kilką dniami do naszej stolicy znakomity skrzypek p. Antoni Parys zamyśla dać tu kilka koncertów. Jest on rodem z Lublina, a kształcił się w Wiedniu. Wyjechałszy przed kilką miesiącami z Warszawy, gdzie, jak się zdaje, stała ma siedzibę, zwidził w krótkim przeciągu czasu Poznań, Berlin, Wrocław, i wszędzie przyjęty był jak najlepiej, jako jeden z bardzo znakomitych artystów. Czytaliśmy wysokie pochwały oddawane grze jego w piśmiech berlińskich *»Berliner-Figaro«* i *»Der Freymüthige«* tudzież w gazecie poznańskiej. Z tej ostatniej przytaczamy tu słów kilka.

»Poznań 15. marca 1845. Słyszeliśmy wczora pana Antoniego Parysa, jednego z najlepszych naszych skrzypków, który śmiało może iść w zawody z pierwszemi w tym względzie reputacjami europejskiemi. Gra jego lekka, naturalna, niewymuszona jest, jak widać, darem natury, nie jak u wielu innych skutkiem uciążliwej i przymuszonej pracy, dla tego też tak głęboko przejmując każde muzykalne uczucie, umiejące ocenić jej wartości. Zaraz po pierwszym przeciągu smyczka poznasz mistrza, a jeśli choć cząsteczką twojej duszy hołdujesz muzom, posłyszawszy ton jeden, wysłuchasz grę do końca. Nie jestto wprawdzie ta moc i siła, ta kolosalność, że tak powiem i ta uczoność smyczka Karola Lipińskiego, nie jestto owa przejmująca tkliwość i rzewność Beriota, działająca osobiwie na serca płci pięknej, lecz środek niejako między przeciwnymi biegunami, siła i lubość idąca w parze, w związku, harmonii, ten sam rodzaj wykonania energiczny razem i czuły, który potrafił w osobie Pacciniego nawet oziębłą i zmarzniętą pod względem muzykalnym publiczność naszą, przywieść do pewnego usposobienia.«